Bezpłatny dodatek do „Głosu Pomorskiego"

Światek Młodzieży

Tygodnik dla młodzieży Pomorskiej.

Wychodzi co niedzielę

Nr. 48 Grudziądz, 19 listopada 1922 Rok 1.

Karolcia.

Rodzice Karolci mieszkali — kilka lat temu — pod pięścią prusaka, w prowincjonalnem miasteczku na Pomorzu.

Ojciec pracował ciężko od rana do nocy, więc zarabiał dostatecznie na utrzymanie rodziny. Dzieci swoje posyłał do niemieckiej szkoły, bo do tego zmuszano, a na polską, — czyżby prusak pozwolił?!

Nigdy! On sam tylko w cudzym kraju domaga się praw, szkół, swobody swojego języka, ale samby na to u siebie nie pozwolił!

To też jednych zupełnie germanił, a w drugich przeciwnie, umacniał ducha ojczystego i pobudzał tem uciemiężeniem do pielęgnowania w duszy i sercu swej mowy i uczuć patrjotycznych.

Rodzice Karolci, niestety, należeli do tych pierwszych, zaniedbywali swój język i zaledwie coś niecoś nauczyli dzieci po polsku, mianowicie pacierza i kilkudziesięciu zdań potocznych, pozatem stale między sobą szwargotali w obcym języku, a coraz bardziej psuli i skażalą swoją własną mowę.

Dzieci, naturalnie, powtarzały wszystko jak papużki, nikt ich nie nauczał zastanawiać się nad tym, kto oni, z jakiego rodu pochodzą, jaka była ich historyczna przeszłość. Prusak umiał wmówić, że do końca świata — panowania tutaj innego nie będzie — oprócz jego, a dzieci prusackie kpiły i wydrwiwały, gdy usłyszały u rówieśników słowo polskie.

W takiejto atmosferze i otoczeniu żyła Karolcia, dziecko pilne w nauce i wrażliwe na wszystko.

Czasem przyjeżdżał w odwiedziny do nich stary dziaduś z babcią, z ziemi kaliskiej, z pod zaboru rosyjskiego, i okropnie kręcił nosem na to, co widział i słyszał w domu syna . . .

— Ależ to małe prusaczki — mówił — i z mowy i z wyglądu i z ubrania i z kogutów, upinanych ze wstążni na głowie! Synu, gdy nadejdzie czas i Polska wyzwoli się z pod jarzma, ich rodacy, współbracia — nie uwierzą, że to dzieci polskie! U nas — tak nie poddajemy się i nie zaniedbujemy!

— Co pocznę, ojcze, takie warunki, taki przypadł los. Będą prześladować, stracę kawałek chleba, zresztą — dorzucił syn — Pomorze Polską nigdy nie będzie . . . i moje dzieci jej wogóle mogą za życia nie ujrzeć . . .

— Co też ty mówisz, synu! — zawołał stary ojciec — ona powstanie prędko, musi powstać!

— E, ojcze, co tam będziemy politykować — skrzywił się syn, głową muru nie przebijemy . . . Ot chodźmy do miasta, kupicie coś sobie z matką; tutaj taniej . . .

— O, że taniej, to taniej! — zaśmiały się oczy matki. — Pójdziemy!

— A więc w drogę. I wy dzieci, Fric, Aleks, Hilda i ty Karoline . . pójdziecie z nami . . .

— — — — — — — — — — —

Upłynęło lat parę.

Polska powstała i Pomorze, podobnież jak i inne swe części mocnym węzłem spoiła.

I posłyszeli Pomorzanie, że — idzie do nich wojsko polskie, a prowadzi je — sławny Haller!

Zadrżały w wielu dusze, zadrgały obawą, jakie też to będzie to owe spodziewane wojsko?

Zapewne źle obute, w łachmanach, źle uzbrojone, nieśmiałe, w niczem nie podobne do błyszczącego i spasionego wroga, który ich opuścił . . .

Podobno byli tacy, co, jak posłyszeli, że n a s i i d ą — pochowali się za okna i tylko ukradkiem wyglądali z mieszkań, aby — nie „najeść się wstydu“, wobec pozostałych jeszcze na czas jakiś, Niemców — gdy ukażą się na ulicach miasta — ci nieszczęśni i „obdarci“ . . . Na spotkanie t a k i c h bowiem r o d a k ó w — któżby wyszedł!! . . .

Ale, o dziwo ukazali się inni . . . Byli piękni, jak królewicze, ubrani dostatnio, na ślicznych koniach i tak odważni, że zaraz, kiedy przechodzili, zwalili z piedestałów grantowych polakożercę Bismarcka i — samego Wilhelma wściekłego . . .

A Karolcia, z bijącem, jakiemś nieznanem szczęściem sercem, stała na ulicy, tuż przy jadących, i oczu oderwać od królewiczów z bajki nie mogła . . .

— — — — — — — — — — —

Zaczęła się emigracja Niemców z Pomorza do Niemiec i powrót Polaków do wyzwolonej Ojczyzny.

Pierwsi wyjeżdżali bogaci materjalnie, zabierając bez przeszkód wszystko, nasi — przybywali zrujnowani majątkowo, z wydartą dobrą ojczystą mową i miłością swej Ojczyzny, nauczeni krytykować a ganić w kraju swym odzykanym wszystko, a chwalić cudze — zapominając, że ze zgliszcz i gruzów powstał cudem ten ich kraj i jest jeszcze niezagospodarowany, biedny, ograbiony ze wszytkiego.

Zawrzała więc praca, powstały różne urzędy i szkoły polskie, zaczęła rozbrzmiewać mowa i pieśń polska.

Karolcia uczęszczała jeszcze jakiś czas do dawnej szkoły, aż przyjechał dziąduś i przyczynił się do przeniesienia wnuczki do innej, czysto polskiej, bo wcale nie chciał uwierzyć — że prusacy wrócą!

Podobało się tam Karolci, i śledziła z zajęciem ładną mowę i piękne polskie zwyczaje.

Czuła, jak mało wie, jaka jest nierozwinięta, i jak była mechanicznie uczoną. A najtrudniej to już biednej Karolci było z temi dobremi wyrażeniami polskiemi i z tą czystą mową!

Długi czas, biedaczka, ust otworzyć nie śmiała, bo tak trudno było oduczyć się tej całej masy brzydkich słów, jak oto: całki, dycht, stojał, dwa siostry, bratowi, dwa marki, dwasta, z przoćku, podszukał, krewności, itd. itd.

W szkole mówili i powtarzali wprawdzie jej dużo razy, jak to mówi się prawidłowo, ale poza szkołą, starsi i rodzice mówili wciąż źle, i nie postanawiali sobie jakoś wcale oduczać się — choćby dla nich, dla dzieci, żeby w końcu już nie gniewano się na uczniów za zły jeszcze ciągle język w mowie i piśmie i nie stawiano złych stopni! Ale w końcu pilna Karolcia trudności jednak przezwyciężyła.

Dzisiaj, po paru latach, mówi już prawie ona poprawnie — jak przystało na dobrą i ambitną Polkę. Mak.

Imieniny Królewny Bajki.

Komedyjka.

(Ciąg dalszy.)

AKT II.

(Scena przedstawia w głębi lasek; bliżej widowni — ładna polanka. Z daleka widać tron, ustawiony dla Królewny Bajki. Zwierzęta, gdy wychodzą na scenę, są odświętnie poubierane, niektóre mają wstążki na szyi lub kołnierzyki i krawaty, jakto widać u kota i psa. Każdy trzyma podarek pod pachą.)

Na scenę wbiega konik polny, ogląda się dokoła i podbiega do tronu, mówiąc:

Konik polny:

Są i kwiaty, jest i zielę, ot będzie wesele, radość i wesele. (Zbiera kwiatki i ubiera tron, wskakując zgrabnie na stopnie, to wyżej, to niżej. Wpada motylek i woła):

Motylek:

A gdzieżeś ty, koniku polny? (biega po scenie i szuka).

Konik polny:

Witaj, witaj, motylku! a gdzieżeś siedział na badylku, zamiast tutaj być, wianek Królewnie wić.

Motylek:
(wciąż lekko biega po scenie).
Ach! jak pięknie, jak wesoło! Ślicznie, jasno, jest wokoło! I tu i tam, i tam i tu . . .

Konik polny:

Daj mi kwiat, leć co tchu!

Motylek:
(zrywa i biegnie do tronu):
Masz, weź; a także trochę mchu — i śpiesz się; do Królewny trzeba biec i wierszyk rzec.

Konik polny:

I upieścić, ucałować, pięknie miło powinszować! (wybiegają). (Wchodzą damy dworu, ładnie postrojone i rozmawiają wachlując się).

SCENA II.

Dama I:
(mówi powoli):
Takam zmęczona! . . Bo Królewna Bajka — bardzo niedogodzona!

Dama II:

Oj, tak, tak, jasne lica, czysta, biała gołębica . .

Dama I:
Ale, jak nie w humorze. — O, to wtedy, nie daj Boże! . . . .

Dama II:
Teraz trochę zasnęła, to się przejść możemy.

Dama I:
A potem ją w suknie piękne ubierzemy!
(Przechadzają się, oglądając tron, i wolno wychodzą).

SCENA III.

(Wchodzi Krasnoludek.)

Krasnoludek:
Cóż to niema nikogo? A Królewna już tutaj — jedną nogą . . (Klaszcze w dłoń.) Hej, hej, piesku, kocie, wyłaź z kniej. (Wchodzi pies, za nim kot).

SCENA IV:

Pies:

Jestem dziadku!

Kot:

I ja także.

Krasnoludek:
(do psa):
Cóżeś robił, bury chwatku, (do kota): i ty gagatku?

Kot:

Myłem się.

Krasnoludek:

A ty psie?

Pies:

Uczyłem się.

Krasnoludek:

Czego?

Pies:

Powinszowania ładnego.

Krasnoludek:

Bardzo dobrze. Chodźcie sobie, czy siadajcie, tylko grzecznie się sprawiajcie. (Kot i piesek przechadzają się, pomrukując do siebie.

Krasnoludek:

(klaszcze w dłonie)

Hej, hej, prę—dzej! piękne panny i chłopczyku, gąsko, owca, koguciku!

SCENA V.

(Wchodzi gąska i dyga, potem owieczka.)

Gąska:

Gę, gę, jestem na twe wezwanie!

Owieczka:

Bee, bee i ja — mój miły panie!

Kogut:

Ja się także wystroiłem, ślicznie piórka wyczyściłem! Ku—ku—ry—ku!

Krasnoludek:

Cicho, kurku, ty djabliku! (po chwili): Hola, dalej — świnko biała i ty myszko, żabko mała! (Klaszcze w dłoń. Wchodzi żabka i myszka).

Myszka:

Jak się macie, panie bracie!

Krasnoludek:

Czemu to się tak spóźniacie? Już Królewna wnet nadejdzie, z dworem swoim prędko wejdzie. (Słychać za sceną kwiczenie. Wchodzi gospodyni i zlekka ciągnie za nogę przywiązaną świnke i mówi):

SCENA VI:

Gospodyni:

A to skaranie Boże, a to utrapienie, to małe, dokuczne stworzenie! Pole obleciałam całe, nim to znalazłam! A widzista — jaka cysta! Przeciem z błota myć musiała, ledwiem nożem odskrobała. Uf, a tom się zadysała! Bo człek już dziś nie tak spaski, by leciał jak stsała. . . . (Świnka stoi spokojnie ze spuszczoną głową i czasem pokwikuje i sapie z cicha. Gospodyni odwiązuje sznurek od nogi i puszcza, a ta prędko biegnie na stronę, przykuca i odpoczywa).

SCENA VII.

(Za sceną słychać oddalone wołanie żyda: „Handel, handel, handel!" Wszyscy nadsłuchują. Pies warczy niecierpliwie. Wchodzi żyd z workiem na plecach i powtarza: handel itd.)

Żydek:

Kupuję wszystko, wiele ... kury, gęsi, jajka, pierze; mądry Jankiel wszystko bierze! ... (Pies podkrada się cicho z tyłu, szczeka, i chwyta żyda za połę.)

Żydek:

(przerażony)

Aj, waj, gaj weg, ty pies, ty paskudnik! Ja z ciebie wcale nie chcę handlować ... ty bądź grzeczny, to ja ciebie będę pochwalać! (Pies warczy. Gospodyni podchodzi i gładzi psa.)

Gospodyni:

Nie rusz go piesku; nie walaj pyscka swego o chałat jego ...

Krasnoludek:

O, złe przywiodło tutaj żyda!

Żydek:

I żyd się, panie gospodarzu, czasem przyda ... (podaje tabakę, krasnoludek wącha i kichają razem parę razy).

SCENA VIII.

(Wpada **motylek** i **konik polny**, wołając): Królewna Bajki idzie, cicho dziadku, cicho żydzie!

(Na scenie robi się ruch! ustawiają się wszyscy po bokach Krasnoludek zainteresowany bardzo, chodzi i woła „cicho", baczność", potem wychodzi na spotkanie orszaku i wita go ukłonami.)

(Dokończenie nastąpi.)

Piotrek.

W czasie panowania ostatniego króla polskiego, Stanisława Poniatowskiego, miało miejsce następujące zdarzenie:

Na Marjensztadzie w Warszawie, mieszkała wdowa po ślusarzu z trojgiem dzieci: dwiema córeczkami i najstarszym synkiem, ośmioletnim Piotrkiem. Matka musiała ciężko pracować na utrzymanie rodziny. Syn, jakkolwiek dla swoich zalet wielką sprawiał jej pociechę, trwożył jednak ze względu na zdrowie, był bowiem delikatny, wątły, a nad wiek mały i szczupły.

Piotrek miał wielką ochotę do nauki, na szyldach nad sklepami i na kartkach drukowanych, porzuconych wśród śmieci, nauczył się czytać.

Dnia pewnego w odwiedziny do wdowy przyszedł sąsiad jej Bartłomiej, starszy kominiarz.

— Moja pani Mateuszowo — rzekł — widzę, że koło was bardzo kuso, nie możecie sobie dać rady, aby koniec z końcem związać. Syn rośnie, trzebaby o nim pomyśleć.

— Ciężkie życie, panie Bartłomieju — odrzekła z westchnieniem wdowa — ale jakże mogę sobie radzić inaczej? Dzieci małe, a Piotrek taki słabowity, do terminu go oddać nie mogę.

— Pewno — odrzekł kominarz — Piotrek młota kowalskiego nie podniesie, hebla lub piły nie posunie ale dajcie mi go, szczupły i zręczny — łatwo w komin wlezie. Szczególniej na zamku królewskim jest jeden taki wąski otwór w kominie, że żaden z moich chłopców i czeladników nie zmieści się. Piotrek rychtyk zdałby się do tego.

— Zmiłujcie się, — zawołała przestraszona matka — a toć go sadza i dym zadławią.

Ale Piotrek, który całej tej rozmowy wysłuchał, poskoczył raźno do matki i tak powiedział:

— Droga matulu, nie bójcie sie o mnie, już ja sobie poradzę, z majstrem pójdę, on mi pewno coś za pracę ofiaruje, to i pomoc dla matuli będzie.

— Walny z ciebie chłopak — rzekł pan Bartłomiej uradowany — harda dusza w niewielkiem ciele, nie pożałujesz też swojej ochoty.

Od owego dnia Piotrek został kominiarczykiem i to najmniejszym pomiędzy wszystkimi kominiarzami w całej Warszawie.

W zamku mieszkanie króla urządzone było z wielkim przepychem. W gabinecie wisiały piękne obrazy, stało mnóstwo cennych i pięknych przedmiotów. Tam każdego dnia Stanisław Poniatowski po obiedzie układał się do krótkiej drzemki, skryty za prześlicznym szklanym parawanem. Przed położeniem się zdejmował zwykle z siebie wszelkie kosztowne ozdoby: pierścionki, dwa złote zegarki, jak to było wtedy w modzie, tabakierkę, łańcuch złoty z gwiazdą brylantową i wszystko to składał na stoliku.

Pewnego dnia zmęczony król ułożył się jak zwykle na sofie i już zaczął zasypiać, kiedy nagle zbudził go niezwykły szmer, idący od strony ślicznego kominka.

Działo się to w parę miesięcy po owej rozmowie ubogiej wdowy z Bartłomiejem.

Poniatowski zdziwiony podniósł się nawpół i przez szklany parawan zwrócił oczy w stronę kominka, z którego niespodziewanie wyskoczył kominiarczyk mały, czarny, jak djabełek.

(Dokończenie nastąpi.)

Zagadka „Gwiazdeczki".

Z dwóch męskich imion na „P" i na „S" utworzyć — dodawszy do „p" trzy litery, a do „s" dwie, nazwę miast w Polsce.

Łamigłówka rachunkowa „Muchomora".

Trzech chłopców grało w loteryjkę na orzechy: pierwszy, zanim rozpoczął grę, miał 35, drugi 32, a trzeci 29 orzechów. Po skończonej grze, okazało się, że 2-gi ma o 9 orz. więcej niż 1-szy, a 3 razy więcej niż drugi. Ile orzechów każdy z nich przegrał lub wygrał?

Zagadka „Różyczki".

Oj, stoi gaj,
pod gajem migaj
pod migajem sapaj,
pod sapajem — chapaj...

Nadesłane liściki do redakcji.

Do Jarzębiny. Bardzo ucieszyłam się z Twego liściku, kochana Jarzębino, i — domyślam się, kto jesteś! Masz słuszność, że gwiazdeczki są jasne, złotowłose; ale są widać między niemi i czarne, to właśnie ja do nich należę. Mam jak kruk czarne — warkocze i jak aksamit — błyszczące oczki.

Zato moja kochana lalka, Krysia, ma złote loczki i bardzo ją lubię, bo jest grzeczna i cierpliwie czeka, abym w niedzielę pobawiła się z nią trochę. W ciągu tygodnia, bowiem nie mam na to czasu, bo uczę się w szkole i w dodatku chodzę jeszcze na lekcje francuskiego.

Mam także, kochana Jarzębinko, i żywą laleczkę — a jest nią mój drogi, półroczny braciszek — śliczny Zbysio. Gwiazdeczka.

Do Niezabudki. Co porabiasz, niebieskooki kwiateczku? Niema zielonej łączki przy szemrzącym strumyku, niema ciepłych promieni słonka, zapewne więc dlatego pobladłaś, przeniósłszy się do doniczki — w pokoju na oknie! Czy tak? Papuga

Do Czarnulki. Co oznacza ten miły Twój pseudonim? Zapewne jesteś czarna, jak cyganeczka, a ząbki masz białe jak perełki. Czy chodzisz ze „Złotym loczkiem" kiedy do parku, Czarnulko, przysłuchiwać się, jak smutnie tam teraz odzywają się ptaszki, pozostałe na zimę u nas. Gołąbka.

Tłoczono w Drukarni Pomorskiej w Grudziądzu.